

PIEKŁO MA WIELE OBLICZY

AGNIESZKA HAŁAS

POSTRONIE
MROKU

RW2010

AGNIESZKA HAŁAS
PO STRONIE MROKU

Pierwodruk: „Science Fiction, Fantasy i Horror” nr 64/2011
opowiadanie ze zbioru PO STRONIE MROKU

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Agnieszka Hałas 2012-2014

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2014

zdjęcie na okładce © shalunx / Fotolia.com

zdjęcie na okładce © udra11 / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012

wydanie I

ISBN 978-83-63598-07-5

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach –
możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Wiara, nadzieja, miłość.....	4
Artysta.....	64
Chleb i krew.....	69
Dwa księżycy.....	79
Trybiki, kukielki.....	102
Powrót do ogrodu.....	117
Po stronie mroku.....	126
Ale nas zbaw ode złego.....	159
Białe miasto.....	194
Rytuał piasku.....	210
Strzyga Maszka.....	225
Ostatnie piętro.....	264
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:.....	277

Po stronie mroku

Światło poranka nie czyniło obskurnego pokoju o pożółkłych od dymu ścianach ani trochę przyjaźniejszym miejscem. Cóż, przynajmniej prześcieradła dawali tu czyste.

Z tawerny po drugiej stronie ulicy dobiegały pijackie wrzaski. Klnąc pod nosem, Sangre Veland wysunęła się z pościeli i podeszła do okna, żeby je przymknąć.

Ciemnowłosa i smukła, poruszała się z gracją dzikiego zwierzęcia niczym rodowita mieszkanka piekieł. Ci, którzy brali ją za demona czystej krwi, mylili się jednak. Sangre była śmiertelniczką, prochem z prochu. Czarna rękawiczka kryła blizny po oparzeniach na jej prawej dłoni; pamiątkę próby, którą przeszła jeszcze za życia, żeby udowodnić szatanowi, że dla niego zniesie każdy ból.

Przeciągnęła się; w całym ciele czuła miłe rozleniwienie. Poprzedniego wieczoru razem z większością mieszkańców Zoth Tenebra bawiła się w dobrym stylu, zgodnie z prastarą tradycją, zawsze modną w Szeolu. Maść z pokrzyku, lulka i ptasiego tłuszczu zapaliła w żyłach tłumu ciemny ogień, tak że szybko przestało się liczyć, kto się bawi z kim.

No, dla Sangre prawie przestało. Ona pod pewnymi względami zawsze była wybredna i wołała kilka kieliszków dobrego szampana od morza mieszanych trunków nie najlepszej próby.

Wspomnienie przywołało na jej wargi uśmieszek. Odwróciła się. Jej apetyczny kąsek jeszcze się nie obudził. Leżał na boku, zmierzwiłone, niebieskawobiałe włosy opadały na gładkie czoło. Miał twarz jak ostrze sztyletu, o wąskich zaciętych ustach, których wyrazu nie mógł zmiękczyć nawet sen.

W przeciwieństwie do niej był czystej krwi Szeolitą i chociaż wiele tysięcy wcześniej płonął, porażony karzącą ręką Pana, na szczupłym, bladym ciele nie widniała ani jedna blizna.

Do odgłosów dobiegających z tawerny dołączył dźwięk rogu grającego, o ile słuch jej nie mylił, groteskowo zniekształcony motyw z „Carmina burana”.

– *In taberna quando sumus* – zanuciła odruchowo, stukając do taktu w parapet długimi, zadbanymi paznokciami.

Mrużąc oczy, ponownie popatrzyła w dół, na ulicę. Noc orgii i szaleństw nie pozostała bez echa. W rynsztoku leżało nagie ciało kobiety, z krwią na ustach i udach. W błocie walały się wstążki oraz sztuczne kwiaty, którymi poprzedniego wieczoru ozdobiła wymyślną fryzurę. Wkrótce się przebudzi i powlecze w mrok, by w cuchnących zaułkach dalej odbywać swoją karę.

Ciepły podmuch poruszył włosami Sangre. Odwróciła się. Na wysokości jej twarzy unosił się zapieczętowany, lekko dymiący arkusik pergaminu. Chwyciła go, przełamała pieczęć, na której widniał herb namiestnika – wąż oplatający dwa skrzyżowane miecze. Wiadomość, zapisana czerwonym atramentem, była krótka.

Jesteś potrzebna.

Sangre zakłęła. Zmięła i odrzuciła pergamin, który natychmiast zajął się ogniem i spłonął. Pozbierawszy z podłogi rzeczy, pośpiesznie zaczęła się ubierać. Demon o włosach barwy lodu, który tymczasem zdążył się ocknąć, przekreślił się na bok i obserwował ją spod przymrużonych powiek.

– Coś się stało?

– Służba. – Wzruszyła ramionami. – Wzywają mnie.

– Wrócisz tu dzisiaj?

– Nie sędzę.

Uśmiechając się krzywo, demon posłał jej pocałunek. Sangre skinęła z roztargnieniem głową, zapinając klamry butów.

Zbiegając po schodach, nie myślała już o nim.

Palazzo Dolore wznosił się w samym sercu Zoth Tenebra – czarna, posepna budowla. Każdy, nawet najmniejszy fragment murów pokrywały wyrzeźbione sylwetki ludzkie, powykęcane w groteskowych pozach i z twarzami wykrzywionymi cierpieniem. Plotka głosiła, że w kamieniu uwiecznione są dusze potępionych. Zdaniem Sangre nie było w tym żadnej logiki – ostatecznie kamień nie cierpi. Cierpieć mogą co najwyżej patrzący, jeśli rzeźbiarz był marny, jak w tym przypadku.

Załogę twierdzy stanowiły w większości drachenkopfy i iblisy – ponure stwory z odległych, pustynnych rubieży Szeolu, dzikie i nieprzewidywalne. Iblis w zbroi i hełmie z zasłoną w kształcie lwiego łba, który powitał Sangre przy bramie, odnosił się do wojowniczkę z nienaganną grzecznością, ale w wąskich czerwonych ślepiach wyraźnie dawało się odczytać pragnienie rozerwania jej na strzępy.

– Proszę za mną – zasyczał. – Obejdzie się bez pochodni?

– Obejdzie się.

Choć nie spędziła w piekle jeszcze nawet stu ziemskich lat, Sangre już widziała w ciemnościach nie gorzej od większości czartów.

Idąc śladem przewodnika przez mroczne korytarze, w których odgłos kroków rozbrzmiewał głuchym echem, nagle uświadomiła sobie, że jest dziwnie cicho. Zrozumiała, że opróżniono cele w całym skrzydle. Znaczyło to, że sprawa jest poważna.

Dotarli w końcu do skrzyżowania korytarzy, skąd brały początek schody wiodące w dół, w jeszcze gęstszy i bardziej smrodliwy mrok. U ich szczytu, wsparty na włóczni i nieruchomy jak posąg, czekał potężny drachenkopf o łuskach mieniących się niczym ogon pawia – sam dowódca straży więziennej, Maleforos al-Urra, zwany Tysiąc Oczu.

Obok Maleforosa stał Werner Markoff, barczysty, krótko ostrzyżony Niemiec w czarnym skórzanym płaszczu i ciemnych okularach. Skinął jej głową, nie przestając ćmić nieodłącznego papierosa.

Sangre mrugnęła do niego, po czym skłoniła się nisko przed demonem.

– Jakie wieści? – spytała.

– Mamy problem – stwierdził oczywisty fakt dowódca straży, nerwowo poruszając koniuszkiem ogona.

– Nieźle – ocenił Markoff, wyjmując papierosa z ust. Wydmuchnął chmurę dymu i raz jeszcze otaksował wzrokiem zniszczenia, po czym splunął. – Wiadomo chociaż, co to było? Napalm? Bomba fosforowa?

Dowódca straży zasyczał niecierpliwie. Nie był, oględnie mówiąc, w nastroju do żartów.

Sangre zadarła głowę i uniosła wyżej latarnię, żeby oświetlić czarne od spalenizny sklepienie celi, w którym ział rozległy wyłom.

– Cud, że to wszystko się nie zawaliło.

– Solidne budownictwo. Ziemski beton się nie umywa. – Niemiec zadeptał niedopałek. – Kapitanie, założę się o mój karabin i dziesięć srebrnych kul, że ktokolwiek stąd prysnął, nie uciekł daleko.

– Doprawdy? Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

– Ktoś, kto przebił głową taki kawał muru, raczej nie będzie biegał zbyt szybko.

Ogon Maleforosa świsnął w powietrzu jak bicz. Markoff zaklął szpetnie, chwytając się za policzek, na którym wykwitła krwawa pręga.

– Pańskie poczucie humoru mnie drażni – oznajmił chłodno demon. – Proszę mieć to na uwadze.

Widać było, że najemnik najchętniej wyciągnąłby pistolet, opanował się jednak. Bardzo słusznie – Maleforos rozszarpałby go, zanimby padł pierwszy strzał. Markoff zgrzytnął więc tylko zębami i skłonił się na znak, że przyjmuje reprimendę. Sangre udawała, że niczego nie spostrzegła.

Raz jeszcze obeszła celę, oświetlając latarnią każdy kąt. Na jednej ze ścian pod warstwą sadzy wciąż można było rozróżnić wizerunek smoka, wymalowany chyba krwią.

– Tak, też to zauważyliśmy – odezwał się zmęczonym głosem dowódca straży. – Właśnie dlatego współpracuje z nami Guldenhorn. Ma hipotezę, że coś tu przeniknęło z niższych piekieł, być może wezwane przez jednego z więźniów. Ale jak dotąd nie udało mu się ustalić niczego konkretnego. – Jego mina dobitnie świadczyła, co sądzi na temat współpracy z Guldenhornem.

– Zaraz, zaraz – zmrużył oczy Markoff. – Nadworny mag sądzi, że coś mogłoby tak po prostu przybyć z dołu i spalić celę razem z więźniami? O ile mi wiadomo, Palazzo ma blokady.

– Ma. Solidne. Inaczej nieproszeni goście roznieśliby nas na strzępy. – Demon uśmiechnął się kwaśno. – Tyle cierpienia, tyle nienawiści... Wszystko, co mieszka w niższych kręgach, ciągnie do takiej aury jak muchy do miodu. A dogadać się z nimi nie sposób. Potrafią tylko niszczyć i żreć. Słusznie pan rozumuje, Markoff. Blokada jest nienaruszona, więc nie ma możliwości, by istota z dołu przedostała się portalem do Palazzo Dolore. Ale zdaniem Guldenhorna to o niczym nie przesądza. – Zdawało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł, wbijając ponure spojrzenie w rysunek na murze.

– Kto był tu więziony? – spytała Sangre.

– Standardowy zestaw – wzruszył ramionami Tysiąc Oczu. – Akta są u mojego zastępcy. Dwóch serbskich żołnierzy posadzonych za zbrodnie wojenne, pedofil z Hamburga i rosyjski zabójca mafijny. Na pierwszy rzut oka nic ciekawego.

– Żaden nie parał się za życia czarną magią?

– W aktach nie ma na ten temat wzmianki. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. – Demon skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. – Nasze akta mogą nie być kompletne. Czasem ci z wyższego szczebla uważają za stosowne coś zataić.

Chciał mówić dalej, ale przerwał mu huk i szum ognia. U szczytu schodów rozszalało się miniaturowe inferno – znak, że ktoś uruchomił zaklęcie teleportacyjne z fantazją i rozmachem. Albo po prostu w pośpiechu nie wymówił inkantacji jak należy.

Gdy płomienie opadły, wystąpiła z nich masywna postać w haftowanych złotem szatach, przywodzących na myśl modę starożytnego Babilonu. Jej głowę wieńczyły imponujących rozmiarów kręte rogi.

– Hej, ty tam, w zbroi, co to ma znaczyć? Co tu robią ci śmiertelnicy? Mieli się najpierw zgłosić do mnie!

Guldenhorn znał się – podobno – doskonale na swoim fachu, ale odróżnienie dowódcy straży od pospolitego żołnierza najwyraźniej przekraczało jego możliwości. Maleforos wyprostował się, od niechcienia kołysząc ogonem.

– Postąpiłem zgodnie z rozkazami. Miałem pokazać łowcom celę i ślady.

Rozpoznawszy wreszcie, z kim ma do czynienia, mag nieco się skonfundował.

– Proszę wybaczyć, kapitanie. Zaszło nieporozumienie. Pani Veland, panie Markoff, zapraszam do mojej wieży. Wyjaśnię wam sytuację.

Maleforos, choć nie objęty zaproszeniem, zbliżył się również, całą postawą dając do zrozumienia, że nie zgadza się na wykluczenie z towarzystwa. Guldenhorn zmarszczył brwi, ale nie kazał mu się cofnąć. Szepcząc zaklęcie, sypnął przed siebie proszkiem ze skórzanego woreczka i otoczył ich nowy wir płomieni.

Gabinet Guldenhorna mieścił się na szczycie najwyższej z wież pałacu namiestnika. Był tak zakurzony i zagracony, jakby urzędował tam podrzędny wróżbita, a nie nadworny mag.

Właściciel pomieszczenia skinieniem wyczarował z powietrza trzy krzesła i zaprosił przybyłych, by usiedli. Sam zajął miejsce za biurkiem, na którym leżało kilka ksiąg, woskowa figurka z powbijanymi szpilkami oraz plik pergaminów przyciśnięty ludzką czaszką. Zmrużył ślepie.

– Zaszło nieporozumienie – powtórzył. Cedził słowa w sposób, który nie spodobał się wojownicze. – Obawiam się, że zostali państwo wtajemniczeni... nazbyt pochopnie. Ale jeszcze nie straconego. – Wyjął z zanadru szklaną buteleczkę. – Mam tu naszykowany czar amnezyjny, na wypadek gdyby ktoś z państwa uznał, że woli się wycofać. Na tym etapie jeszcze można.

Odpowiedziało mu milczenie. Z pełnej obrzydzenia miny Niemca można było łatwo wyczytać, co sądzi na temat wycofywania się oraz czarów amnezyjnych. Sangre siedziała bez ruchu, wodząc spojrzeniem od jednego demona do drugiego.

– Bardzo dobrze. Od tego momentu obowiązuje was tajemnica. Niedochowanie jej – Guldenhorn na mgnienie oka ukazał kły – skończy się źle. Pani Veland, panie Markoff, nie będę tał: sytuacja jest poważna. Przedwczoraj późnym wieczorem w Palazzo Dolore w nieznanych okolicznościach doszło do... incydentu, którego skutki widzieliście na własne oczy.

– Widzieliśmy. – Niemiec zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się głęboko. – Więźniów i celę diabli wzięli, nie obrażając nikogo z obecnych.

– Poniekąd. – Tysiąc Oczu spojrzał nań koso, a koniuszek jego ogona drgnął.

– Ale to jeszcze nie wszystko – podjął mag. – Kapitanie, mówiłeś im już o tym żołnierzu?

– Nie. – Oblicze Maleforosa upodobniło się do chmury gradowej.

– Więc opowiedz.

– Wczoraj po południu rzeka wyrzuciła szczątki jednego z moich iblisów – oznajmił niechętnie dowódca straży. – Odarte ze zbroi i spalone na węgiel. Ten iblis był na służbie w czasie, gdy w Palazzo Dolore ogłoszono alarm. Razem z pozostałymi brał udział w poszukiwaniu śladów. Jak reszta strażników z tamtej zmiany, zszedł z posterunku o świcie, gdy już opróżniliśmy cele i zamknęliśmy skrzydło. Wtedy po raz ostatni widziano go żywego. Możliwości są trzy. Albo to zbieg okoliczności, w co nie wierzę, albo ten strażnik coś wiedział i usunięto go celowo, albo...

– Albo ktoś go zabił wcześniej i podszył się pod niego na czas tamtej wachty – uzupełnił Guldenhorn. – Ja się skłaniam ku tej ostatniej wersji.

– A są jakieś dowody? – odezwała się Sangre. Demon spojrzał na nią spod oka i zbyt późno zreflektowała się, że nadworny mag prawdopodobnie nie lubi, by śmiertelnicy kwestionowali jego słowa. Ale nie przejęła się zbytnio. – Proszę wybaczyć. Mam dociekliwą naturę.

– Tak, są dowody. Trudne do objaśnienia komuś, kto nie jest magiem, więc będą państwo musieli mi uwierzyć na słowo. – Guldenhorn zniżył głos. – Mam podstawy, by sądzić, że do Zoth Tenebra przedostał się intruz. Bardzo niebezpieczny intruz. Silny, sprytny, umiejący zmieniać swoją postać i władający ogniem, który zabija demony.

– To chyba można sprawdzić. O ile mi wiadomo, istnieją zaklęcia, pozwalające odnaleźć trop sprawcy.

– Zgadza się. – Mag skinął głową. – Ale żeby ich użyć, trzeba posiadać coś, co zostawił tropiony. Wystarczy błahostka, skrawek odzieży czy choćby włos... Tym razem nie znaleźliśmy niczego, co można byłoby wykorzystać.

Zapadła cisza, którą przerwał Markoff.

– Jeśli zostajemy wynajęci, żeby zlikwidować sprawcę, najpierw chcę wiedzieć, co to za jeden. Demon, miszling, bestia?

– Obawiam się, że my również tego nie wiemy – odrzekł Guldenhorn. – Przypuszczalnie coś, co przedostało się tu z niższych piekieł, by zgodnie ze swą naturą siać chaos i zniszczenie. Może przybyło w odpowiedzi na wezwanie, może z własnej inicjatywy... kto wie? Palazzo Dolore ma blokady, ale intruz nie dostał się do Zoth Tenebra przez Palazzo Dolore. Wszedł tam przez główną bramę, najprawdopodobniej zakamuflowany jako ten nieszczęsny strażnik. Upatrzywszy odpowiednią chwilę, pokazał, co potrafi, a potem umknął. Zostawiając wszelako swój podpis...

– Wizerunek smoka na ścianie – dokończyła Sangre. – Ciekawe, czemu akurat smoka.

– W pani ojczystych stronach smok jest, jeśli się nie mylę, symbolem zła i ciemności – wmieszał się do rozmowy Maleforos. – To by było jedno z możliwych wyjaśnień. Nie w tym rzecz. Kimkolwiek i czymkolwiek jest sprawca, należy z nim zrobić porządek, zanim znów uderzy. Nie potrzeba nam niepokojów w mieście.

I tu was boli – pomyślała Sangre. – Obecny namiestnik, który tak sobie ceni kompetentnych magów i dobrze wyszkolone wojsko, nigdy nie cieszył się powszechnym poparciem. Wrogie stronnictwa tylko czekają na okazję, żeby wzniecić zamieszki i przechwycić władzę. Szalejący po mieście potwór z niższych piekieł to wymarzona woda na ich młyn. A wam, wiernym poplecznikom Lape Zodire, taki rozwój wydarzeń byłby bardzo nie na rękę. Dlatego panowie Maleforos i Guldenhorn, choć na co dzień się nie lubią ani nie szanują, teraz stworzyli wspólny front.

I dlatego siedzimy tutaj my, zaprzysiężeni, tak słabi w porównaniu z wami. Nie wiecie, komu spośród swoich możecie ufać.

Ale cyrk.

Po minie Wenera mogła poznać, że jego myśli biegają podobnym torem. Chytrze zmrużył oczy.

– Jaką zapłatę oferujecie?

Guldenhorn uśmiechnął się jak ktoś, kto ma asa w rękawie.

– Jeśli wytropicie i zabijecie tę istotę nie później niż w ciągu trzech dni, zostaniecie zaliczeni w poczet szlachty piekielnej. Zyskacie prawo noszenia szponów i skrzydeł. Prócz tego, oczywiście, zapłacimy złotem. Pięć tysięcy henochiańskich koron.

– Do podziału?

– Na głowę, przyjacielu. Umiemy być hojni.

– A jeśli nie uda się w ciągu trzech dni, co wtedy?

– Jeśli uda się nie w ciągu trzech dni, tylko powiedzmy czterech do siedmiu, nie będzie nominacji szlacheckiej. Ale zapłacimy po trzy tysiące henochiańskich koron na głowę.

– A jeśli się nie uda? – drążył najemnik. – Jeśli wcześniej, dajmy na to, sprzątnie go ktoś inny?

– Wtedy ten ktoś otrzyma trzy tysiące koron, a wy się obejdziecie bez zapłaty. – Mag wzruszył ramionami. – To i tak dobre warunki.

– Wchodzę w to – stwierdziła Sangre. – Mogę pracować sama.

– O, co to, to nie! – Markoff aż podskoczył. – Nikt nie będzie opowiadał, że stchórzyłem przed zadaniem, które ona przyjęła. Dawajcie cyrografy!

– Cieszę się, że tak prędko się państwo zdecydowali – stwierdził Guldenhorn, wydając z szuflady biurka dwa arkusze pergaminu. – Dokumenty mam naszykowane. Proszę podpisać tu i tu. Tradycyjnie, krwią z serdecznego palca.

– Wypadałoby się dogadać w technicznych kwestiach – stwierdził Niemiec, gdy wyszli na zewnątrz.

– To znaczy?

– Działamy razem czy każde na własną rękę?

Sangre zmierzyła go wzrokiem. Znali się głównie ze słyszenia – Markoff podróżował po całym Szeolu, przyjmując zlecenia od każdego, kto mu zapłacił, podczas gdy ona pozostawała w mniejszym lub większym stopniu na żołdzie namiestnika Zoth Tenebra. Sądząc z tego, co o nim opowiadano, Niemiec nie był ani uczciwszy, ani bardziej honorowy niż przeciętny mieszkaniec piekieł i w normalnych warunkach zdecydowanie wolałaby działać sama, ale coś jej mówiło, że nie tym razem.

– Jeśli nawet wykonasz zadanie w pojedynkę, na twoim miejscu nie liczyłabym, że zapłacą podwójnie. – Wzruszyła ramionami.

Popatrzył na nią badawczo, po czym nie śpiesząc się, wyjął kolejnego papierosa i zapalił.

– Myślę, że w tej robocie tkwi haczyk – stwierdził, wydmuchując dym. – Za wysoką cenę oferują.

– Coś w tym jest – przyznała obojętnym tonem Sangre.

Markoff rozejrzał się. Stali pośrodku pałacowego dziedzińca, a w zasięgu wzroku nie było nikogo. Zniżył głos do szeptu.

– Proponuję sojusz. Działamy razem... i nie wykręcamy sobie nawzajem brzydkich numerów. Co ty na to?

Traktował ją z respektem, co było miłą niespodzianką. Zbyt często zdarzało się, że musiała wyprowadzać z błędu głupców, którzy odnosili się do niej, jakby była naiwną panienką, a nie wojownikiem Szeolu. Co ciekawe, celowali w tym śmiertelnicy, a nie demony.

- W porządku – zgodziła się.
 - Umowa stoi. – Markoff klepnął ją w ramię. – Chodź, współniczko.
 - Dokąd na początek?
- Uśmiechnął się.
- Zobaczysz.

Podłe dzielnice Zoth Tenebra zamieszkiwała zbieranina wszelkiego rodzaju mętów. Potępieni, którzy odbyli już najcięższą część kary, miszlingi, zwane też halbdiablami – owoce związku śmiertelniczki lub śmiertelnika z demonem – a także czarty pośledniego rodzaju, jak latańce i yao. Wszystko to gnieździło się w ruderach, piwnicach i skleconych byle jak szałasach.

Markoff zatrzymał się przed niskim drewnianym budynkiem. Wyblakły szyld nad drzwiami głosił po łacinie, hebrajsku i niemiecku, że można tu kupić leki, zaklęcia tudzież trucizny.

– Jak stoisz ze specyfikami pierwszej pomocy?

– Nie potrzebuję niczego. – Sangre nie zwykła się zaopatrywać w eliksiry lecznicze w tak podrzędnych przybytkach.

W ciemnym wnętrzu pachniało ziołami, spirytusem i formaliną. Aptekarz wyglądający jak z szesnastowiecznej ryciny, w birecie i szacie podbitej futrem, na widok Niemca skłonił się i wyszczerzył poźółkle zęby.

– Czym mogę służyć? Maść regeneracyjna, jak zawsze?

– Daj dwa opakowania maści i eliksir tamujący krew. Czekać, to nie wszystko. Dorzuć jeszcze – Markoff rozejrzał się po półkach – duże pudełko czekoladek „Walpurgisnacht”.

Aptekarz wytrzeszczył oczy, ale nie skomentował. Posłusznie zdjął z półki bombonierkę opakowaną w złoty papier.

– Te czekoladki to na przynętę? – Sangre uniosła brwi, gdy wyszli na zewnątrz.

– Na zachętę. Musimy się przypochlebić pewnej pani, żeby zechciała nam poświęcić czas.

Wróżbitka Bernardita Mendez urzędowała na targowisku w drewnianej budzie, na ścianach której widniały kabalistyczne symbole.

– Jesteś pewien, że to ma sens? – spytała powątpiewająco Sangre, gdy tylko zorientowała się, dla kogo przeznaczone są czekoladki. Jeszcze z ziemskiego życia wyniosła sceptyczne nastawienie do wszelkiej maści wróżb. W Szeolu co prawda różne rzeczy wyglądały inaczej, działała magia, ale mimo wszystko...

– O, Bernardita zna się na swoim fachu. Już parę razy naprowadziła mnie na trop.

– Mógł to być ślepy traf.

– Spróbować zawsze warto. I tak od czegoś trzeba zacząć.

Wejścia do budy pilnował miszling o ropuszym pysku i chytrych żółtych ślepiach.

– Konsultacja kosztuje pięć koron – wysyczał, przypatrując się im wrogo. – Wróżby są cenione w zależności od wagi pytania.

Markoff rzucił mu monetę. Miszling skłonił się, po czym odchylił zasłonę u wejścia.

Sangre, która o Bernardicie Mendez słyszała co nieco, spodziewała się ujrzeć paskudne babsko i nie omyliła się. Przy nakrytym brokatową kapą stoliku siedziała gruba kobieta o rysach zdradzających domieszkę krwi indiańskiej i murzyńskiej. Przed nią leżała rozłożona w wachlarz talia kart. Na ścianie budy wisiał odwrócony krucyfiks, obok – podobizna Lilith w złoczonej ramce.

– Przyszliście, by się dowiedzieć czegoś więcej o zagrożeniu, które przybyło do miasta – odezwała się wróżbitka na ich widok. Mówiła z okropnym południowoamerykańskim akcentem, tak że ledwie można ją było zrozumieć.

– Skąd wiesz? – spytała Sangre, nie kryjąc zdumienia. Bernardita zaśmiała się ochryple.

– Ostatecznie jestem jasnowidzem, kochana. Rozłożę dla was karty... ale nie ma nic za darmo. Czterdzieści henochiańskich koron, ani miedziaka mniej.

Markoff z ukłonem wręczył jej pudełko czekoladek, po czym wyjął portfel, posyłając znaczące spojrzenie Sangre. Ona również sięgnęła po pieniądze.

Bernardita łapczywie pochwyciła monety, następnie zaś rozpakowała bombonierkę i poczęstowała się czekoladką.

– Nieszczęśni, tropicie tego, kogo nie imają się wasze kule. – Uśmiechnęła się szyderczo, zgarniając i tasując karty. Z prestidigitatorską zręcznością ponownie rozłożyła je w wachlarz. – A imię jego brzmi: śmierć i zniszczenie, krwawa sprawiedliwość.

– Pani Bernardito, moja cierpliwość jest ograniczona. – Markoff wyjął pistolet i zaczął się nim od niechcienia bawić. – Zapłaciliśmy i oczekujemy konkretów. Gdzie go znajdziemy?

– Znajdziecie, synu – odrzekła spokojnie wróżbitka, wydając z wachlarza pojedyncze karty i kładąc kolejno na stole. Walet karo, dama karo, as kier, walet pik.

– Bliska jest godzina, znajdziecie go i bez moich wskazówek. Strzeżcie się jednak! Jego ogień pali i zabija, a jego miecz jest groźny niczym gniew Pana.

– Lape Zodire jest w dobrych układach z Górą. Niebiosa nie mają żadnego powodu, żeby nasyłać na nas swoich wojowników – odezwała się Sangre, mimo woli myśląc na głos. Starucha popatrzyła na nią bystro.

– Czemu tak piękna dziewczyna postanowiła stanąć po stronie mroku? – spytała ni z tego, ni z owego, sięgając znów do bombonierki.

– Bo światłość razi w oczy. – Sangre wzruszyła ramionami. – Nie wierzę w dobro i zło, pani Mendez. To dwie strony tej samej monety.

Bernardita wrzuciła do ust trzecią czekoladkę. Jej oczy zaczynały nabierać podejrzanego blasku, źrenice rozszerzyły się.

– Biada ci, Babilonie! – zakrakała nagle. – Już rychło zapłoną twoje wieże!

W oddali rozległ się głuchy huk. Sangre i Markoff spojrzeli na siebie, po czym wypadli na zewnątrz.

– Strzeżcie się gniewu Pana! – doleciał ich jeszcze ochrypły głos wróżbitki. – Strzeżcie się deszczu ognia i siarki! Biada ci, Babilonie!

Znad zasnutych mgłą dachów w niebo wzbijał się słup dymu.

– Gdzieś w okolicy rynku – wymamrotał Markoff. – Jasna cholera, tego tylko brakowało.

Sangre miała już w ręku proszek do teleportacji.

Powitało ich pandemonium. Rynek zasnuwały duszące kłęby, ludzie miotali się tu i tam. Nad głowami śmigały, skrzecząc, przerażone yao. Markoff chwycił za ramię jakiegoś chuderlawego typka.

– Co tu się stało?!

– Przecież sami widzicie... – Mężczyzna wskazał głową za siebie. Z dwu kamienic przy rynku pozostały dymiące ruiny. Z rumowiska sterczały czarne belki.

– I dlatego właśnie pytam, co się stało! – Markoff potrząsnął nieszczęśnikiem, który oklapł i zaczął dygotać.

– Panie, ja nic nie wiem... Był ogień, huk... jak na wojnie... Nie wiem nic więcej, przysięgam na Ciemność...

– Puść go – powiedziała z rezygnacją Sangre. – I popatrz tam, na wprost.

Na poczerniałym od sadzy murze widniał wymalowany wizerunek smoka. Markoff podrapał się po brodzie.

– Co się mieściło w tych domach?

– W tym od lewej, o ile pamiętam, sklep z bronią, w tym drugim salon masażu. Albo może na odwrót.

Jęcząc, minęła ich kobieta, której ubranie i skóra zwisały w zwęglonych strzępach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. W świecie żywych na miejscu zjawilyby się już policja i pogotowie. Ale tu był Szeol.

– Trzeba przepytać ludzi, ktoś musiał coś widzieć – odezwał się najemnik z miną mówiącą, że chwilowo brakuje mu lepszych pomysłów.

Jednakże przerażone dusze nie mogły lub nie chciały powiedzieć niczego pomocnego. Dopiero piąty z kolei zapytany, staruszek o wyglądzie żebraka, wyszczerzył w uśmiechu popsute zęby.

– Za dwie korony, panie, powiem.

– Powiesz zaraz, parchu, albo ci odstrzelę to i owo – zagroził Markoff, odbezpieczając pistolet. Stary łypnął na niego wrogo.

– To był ogień z nieba, panie – mruknął. – Płomień spłynął z chmur. Raz-dwa było po wszystkim.

– Ogień z nieba – niechętnie powtórzył Niemiec, patrząc na osmalone gruzy. – Krwawa sprawiedliwość, miecz jak gniew Pana. Co to ma znaczyć, psiakrew?

Sangre zmrużyła oczy, patrząc na yao wciąż krążące nad rynkiem.

– Jeśli założysz, że należy wierzyć wróżbom, to może znaczyć – zniżyła głos, choć stary potępieniec zdążył się już oddalić – że nie tropimy czegoś, co się tu przedostało z niższych piekieł, ale coś, co przybyło z Góry.

– Cholera! – Markoff zasepił się jeszcze bardziej. – No, to by dopiero było. Wszyscy powtarzają, że Lape Zodire jest w dobrych układach z Górą. Myślisz, że świętoszki wykreściłyby mu taki numer?

– To ty twierdzisz, że ta Mendez zna się na rzeczy. Czytałeś kiedyś Apokalipsę?

– No, jeśli masz rację... – Nagle skrzywił się z obrzydzeniem. – *Scheisse!* Patrz, kto idzie.

Od strony rynku zbliżało się dwóch mężczyzn, każdy w odzieniu z innej epoki historycznej. Sangre знаła ich mgliście. Najemnicy, podobnie jak Markoff.

– Stać! Co tu robicie? – zawołał groźnie jeden z nich, wysoki i brodaty, o wyglądzie hiszpańskiego konkwistadora.

– Prowadzimy śledztwo z rozkazu namiestnika! – odkrzyknęła, patrząc na nich wyzywająco.

– Proszę, proszę. To tak jak my. – Brodacz uśmiechnął się brzydko, po czym dał znak towarzyszowi i obaj wydobyli broń.

Zanim Sangre zdążyła choćby mrugnąć, huknęły dwa strzały.

– Nie znoszę, gdy konkurencja wchodzi mi w drogę – stwierdził Markoff, podchodząc i chowając pistolet. Uniosła brwi.

– Ty będziesz się tłumaczył Guldenhornowi.

– Nie powiedział, że wynajmuje również takie śmieci. – Trącił nogą jedno z ciał.
– Lepiej idźmy stąd, zanim ktoś jeszcze się przyplące. Trzeba się zastanowić, co dalej.

Sangre po raz ostatni powędrowała spojrzeniem w kierunku kołujących yao, których ponure krakanie w dalszym ciągu rozlegało się nad pogorzeliskiem.

– Znam miejsce, gdzie ściany nie mają uszu.

Na obrzeżach miasta, jak wyspy z morza ruder, wznosiły się solitaria. Nijako wyglądające, pozbawione okien szare budynki. Od Palazzo Dolore odróżniało je przede wszystkim to, że instrumentem kary w solitariach nie były tortury, lecz wspomnienia i wizje. Potępieni tkwili w więzieniu własnych umysłów.

Ponieważ ucieczki i tak praktycznie się nie zdarzały, solitaria należały do najsłabiej pilnowanych zakładów karnych w Szeolu. W każdej z szarych budowli przebywał stale jeden strażnik, czasem dwóch, ale ich rola ograniczała się głównie do tego, żeby przeganiać bezczelne yao, którym przyszła ochota uwić gniazdo gdzieś w załomie murów, i odnawiać od czasu do czasu zaklęcia uniemożliwiające snującym się bez celu duszom wydostanie się na otwartą przestrzeń. Sangre, która już dawno przekonała się, że znajomości i kontakty przydają się w Szeolu jeszcze bardziej niż w świecie żywych, zadbała o to, by mieć na teren solitariów wolny wstęp. Rzecz jasna, oficjalnie nikt o niczym nie wiedział.

W zaułku na tyłach największej z szarych budowli gniły odpadki wyrzucane tu z kuchni któregoś z piekielnych arystokratów. Szczury obwąchiwały poczerniałe trupie ręce i wnętrzności. Sangre odnalazła furtkę w murze, na poły zamaskowaną przez sterty śmieci. Wyjęła z kieszeni kawałek drutu z wygiętą końcówką i zaczęła nim grzebać w zardzewiałym zamku kłódki, ignorując sceptyczny wzrok towarzysza. Zdjęła rękawicę, żeby móc sprawniej manipulować wytrychem.

– Po czym to? – spytał Markoff, patrząc na blizny. Sangre zaśmiała się.

– Musiałam udowodnić demonom, że warto mnie przyjąć na służbę. Najpierw pokazałam, że nie boję się bólu. – Poruszyła palcami oparzonej dłoni. – Po tej historii rodzina zawlokła mnie do psychiatry, który zdiagnozował schizofrenię. Trafiłam do szpitala. Dostawałam leki, ale po jakimś czasie nie działały już tak skutecznie jak na początku. I pewnej nocy uciekłam stamtąd. Zorganizowałam sobie ubranie, broń i... no cóż... narobiłam troszkę zamętu w mieście. – Uśmiechając się do wspomnień, mocniej poruszyła wytrychem i kłódka otwarła się.

Wszystkie solitaria budowano według planu, który Sangre знаła na pamięć. Po krótkiej wędrówce przez mroczne korytarze wyszli na okolony krążgankami wewnętrzny dziedziniec. Tu również było ciemnawo. Na kamiennych płytach

siedziały lub leżały postacie w łachmanach, o skórze koloru ziemi. Niektóre mamrotały do siebie, inne tylko wpatrywały się pustym wzrokiem w przestrzeń.

– Usiądziemy?

– A oni? – Markoff z obrzydzeniem odepchnął wychudzoną duszę, która usiłowała chwycić skraj jego płaszcza.

– Nie będą nam przeszkadzać. W ogóle nie kontaktują, zobacz. – Sangre pomachała ręką przed twarzą potępionej, potem klepnęła ją w policzek. Kobieta nawet nie drgnęła. – To jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Zoth Tenebra, wierz mi.

Usiadła pod murem i odpięła od pasa manierkę.

– Chcesz?

Łyknął i omal się nie zakrztusił.

– Uuuch... cholera, czy to jest to, co myślę?

– Dwunastoletni Johnnie Walker, oryginalny. – Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Skąd?!

– Lepiej nie pytaj. Przydatne kontakty w świecie żywych. – Sangre też pociągnęła łyk i odchyliła się do tyłu, zaplatając ręce za głowę. – Dobra, Werner, podsumujmy, co wiemy. Atak na Palazzo Dolore, a dwa dni później spalone kamienice w centrum miasta. Ofiarą padają potępieni i co najmniej jeden demon w służbie namiestnika. Żadnych gróźb, deklaracji, żądań... w każdym razie o niczym takim nas nie poinformowano.

Markoff patrzył na nią, mrużąc oczy.

– Ty lepiej znasz Guldenhorna i tego drugiego. Myślisz, że nie zdradzili nam wszystkiego, co sami wiedzą?

– Trudno powiedzieć. Ale jedno jest pewne. Demon, który prosi o pomoc śmiertelników, zamiast się zwrócić do pobratymców, to bardzo ogłupiały demon, Werner.

– Albo bardzo chytry demon.

– Ale do czego moglibyśmy im być potrzebni my i nasze śledztwo, i jeszcze tych dwóch żalosnych typków, których też wynajęli? Nie. Nie sędzę, by to miała być aż tak piętrowa intryga. Wracając do ataków, co ci się rzuca w oczy w pierwszej kolejności?

– Jak na razie nie widać w nich żadnej logiki. – Markoff łyknął jeszcze whisky.

– I są mało niszczycielskie, tak naprawdę.

– Fakt. Ale, cholera, ten ktoś uderzył w Palazzo Dolore. Nie byle jaki wyczyn.

– Demonstracja siły? Wyzwanie rzucone namiestnikowi?

– Maleforos i Guldenhorn podejrzewają chryję polityczną, nakręconą przez przeciwników Lape Zodire. Ja nie jestem taka pewna. – Sangre w zamyśleniu wpatrywała się w blade niebo widoczne ponad krawędzią murów. – Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza, Werner. Coś nie pasuje.

– Czemu?

– Za małą skalą. Tak jak mówiłeś, za mało zniszczeń. Za mało ofiar, żeby wywołać zamieszki. W Szeolu? Na Molocha, nawet w świecie żywych terroryści starają się troszkę bardziej. A z drugiej strony... mamy atak na Palazzo Dolore. Jedno z najlepiej strzeżonych miejsc w mieście.

– No dobrze. A jeśli coś z własnej inicjatywy przybyło z niższych piekieł, tak jak sugerował Guldenhorn? I uderza, gdzie popadnie?

Sangre machinalnie obracała w palcach zakrętkę od manierki.

– Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna możliwość – powiedziała powoli. – Że ktoś lub coś tymi wybuchami zaciera za sobą ślady, absorbuje naszą uwagę, a o tym, co naprawdę szykuje, dopiero się przekonamy.

– Co podejrzewasz?

– Nie wiem, co konkretnie. Może faktycznie intrygę polityczną. – Potarła czoło.
– Więzienie, a potem sklep z bronią, Werner. I do tego ta przepowiednia pani Mendez. Miecz groźny niczym gniew Pana, płonące wieże Babilonu...

– Nie wiem, co się stało Bernardicie – mruknął Markoff. – Zwykle przepowiada z sensem.

Ale on też wyglądał na zaniepokojonego.

W następnej chwili niebo rozbłysło czerwienią i rozległ się huk, od którego zadrżały mury.

Tym razem nieznany sprawca zaatakował na przedmieściu i gdy dotarli na miejsce, pożar dopiero przybierał na sile. Potępieni uciekali w panice z zagrożonych domostw.

– Nic tu po nas, cholera! – Sangre cofnęła się w głąb najbliższej bramy, chroniąc się przed stratowaniem.

– Czekaj! – Markoff trącił ją w ramię. – Patrz.

Wskazał przeciwną stronę ulicy. Ignorując pędzące na oślep dusze, na stertę połamanych desek i śmieci wspięła się postać w czarnej opończy z kapturem. Z tej odległości nie dało się poznać, czy to człowiek, miszling czy demon.

Postać uniosła ramiona. Ponad zgłębkiem spanikowanego tłumu i hukami płomieni poniósł się niesamowity, wibrujący okrzyk czy zaśpiew. Zabrzmiął przeraźliwy syk, jakby na płonące domy chlusnęła niewidoczna fala wody. Ogień przygasł i wszystko zasnęła chmura dymu.

– Niech mnie Belial – szepnął Niemiec.

Poskramiacz ognia opuścił ręce i wpatrywał się w swoje dzieło. Markoff otrząsnął się z osłupienia.

– Bierzemy go – oświadczył. – Trzeba sprawdzić, co to za jeden.

– Po co? To nie jego tropimy.

– Włada ogniem!

– Owszem, i to dobry powód, żeby z nim nie zadzierać bez potrzeby.

– Ja też mam w zanadru parę sztuczek. – Niemiec uśmiechnął się paskudnie. – Jestem od niego szybszy, chcesz się założyć?

– To nie jego tropimy – powtórzyła stanowczo Sangre.

– Boisz się?

– Po prostu logicznie rozumię.

Markoff patrzył na nią przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Dobra. Tylko z nim pogadamy. A nuż coś wie.

Przeszli przez ulicę, pokaszując, bo dym zgęstniał jeszcze bardziej. W ruinach jednego ze spalonych domów ktoś krzyczał – rozpaczliwie, niehumanie.

– Hej, ty! – zawołał Markoff w kierunku odzianego w czerń nieznajomego. Ten odwrócił się, a Sangre drgnęła na widok bladej twarzy o delikatnych rysach, w której tliły się czerwone szparki oczu. Dopiero teraz zauważyła również długi ogon wijący się wokół nóg postaci.

– Czego chcecie? – spytała kobieta miszling głosem przypominającym syk płomieni.

– Kim jesteście?

– Nazywam się Surjit, ale mówią na mnie Feuersprache. – Powiedziała to tonem, w którym brzmiała duma i leciutkie ostrzeżenie. – A wy kim jesteście?

– Prowadzimy śledztwo z rozkazu namiestnika. Co tu się stało?

Surjit vel Feuersprache uniosła brwi.

– Właśnie uratowałam dzielnicę, a może i całe miasto. Ale nie przypuszczam, żeby namiestnik zechciał okazać wdzięczność.

– Jesteś magiem? – wtrąciła się do rozmowy Sangre.

– Powiedzmy, że umiem wystarczająco dużo, żeby zadbać o siebie. – Kobieta miszling od niechcienia strzepnęła dłonią, której palce na moment wydłużyły się w zakrzywione szpony.

– Jeśli posiadasz moc, powinnaś wyczuć, co się dzieje. Ktoś wznieca pożary w mieście. Pomóż nam go odnaleźć.

– Nie wiem zbyt wiele. – Surjit wzruszyła ramionami. – Zdaje się, że ogień wybuchł w pracowni mistrza Zachariasza, tego alchemika od siedmiu boleści. O tam, na rogu. – Wskazała jeden ze spalonych budynków. – To mógł być po prostu wypadek. Stary chłab i nie pilnował uczniów.

Ściany domu groziły zawaleniem w każdej chwili, więc nie wchodzili do środka, ograniczając się do zajrzenia przez wybite okno. Z warsztatu alchemika, jak można się było spodziewać, nie ocalało prawie nic. W popiele wały się szczątki aparatury i odłamki szkła. Markoff trącił butem jakiś osmalony, nierozpoznawalny ochłap.

– Wygląda na to, że klienci mistrza Zachariasza będą musieli sobie poszukać innego dostawcy – skonstatowała beztrósco Surjit, patrząc na to, co zostało po pożarze. Wsunęła się do sieni, a po chwili wyszła, chowając coś w zanadrzu. Niemiec uniósł brwi.

– Kradniesz jego złoto? Czy prochy, które produkował?

– Kto pierwszy, ten lepszy. – Zmrużyła ślepią, patrząc na niego wyzywająco, ale Markoff tylko wzruszył ramionami, nie kontynuując tematu.

– Znałaś Zachariasza? – odezwała się Sangre, odrywając wzrok od muru, gdzie widniał, na pierwszy rzut oka łatwy do pomylenia z plamą sadzy, znajomy wizerunek smoka.

– Trochę.

– Czym się zajmował?

– Głównie produkcją homunkulusów. Wiecie, niektóre demony lubią ich mięso. Podobno miał taki specjalny kocioł, dostał go od jakiegoś klienta. Po pijaku chwalił się, że rozpala ogień, wrzuca składniki, potem jednego martwego homunkulusa, a nazajutrz z kotła wychodzi czterdzieści żywych. Ale może to tylko błaga. Trudno dociec. – Surjit przechyliła się przez parapet, patrząc na pozostałości warsztatu. – Cały sprzęt diabli wzięli, nie obrażając nikogo, więc już nie poznamy prawdy. Cóż, szkoda kotła, jeśli przepadł. Pewnie można byłoby dostać za niego niezłą cenę.

W Sangre jakby piorun strzelił. Chwyciła towarzysza za ramię.

– Werner, gdzie w Zoth Tenebra można by... Solitaria... ale nie, tam jednak za duże ryzyko...

– Wytlumacz najpierw, o czym mówisz, bo nic nie rozumiem – zniecierpliwił się Markoff, ale ona jakby go nie usłyszała.

– Cholera... to wcale nie musi być w Zoth Tenebra... ale nie da się tak łatwo przerzucić portalami całej armii... więc jeśli Zoth Tenebra jest celem... – Potarła czoło. – Jakieś ustronne miejsce, ukryte przed wzrokiem wszystkich, może gdzieś w podziemiach. Dużo przestrzeni i małe ryzyko, że ktoś niepowołany tam trafi. Znasz coś takiego?

– Krypty pod budynkiem starego sądu?

– O nie, coś większego.

– Za miastem, pod wzgórzami są groty – odezwała się ku ich zaskoczeniu Surjit.

– Polowałam tam na zbiegłe dusze. Korytarze ciągną się przez wiele mil.

– Zaprowadź nas tam – rzuciła Sangre.

Kobieta miszling zmierzyła ją chytrym spojrzeniem.

– Co będę z tego miała?

– Co powiesz na audiencję u pewnej wysoko postawionej osobistości, która w szczególnych przypadkach może przyznać miszlingowi status demona czystej krwi?

Oczy Surjit rozszerzyły się.

– Naprawdę możesz to zrobić? Możesz mi załatwić zmianę statusu?!

– Mogę ci załatwić audiencję – sprostowała chłodno wojowniczką. – Reszta zależy już od ciebie. Ale jesteś magiem, więc są naprawdę spore szanse. To jak będzie?

Kobieta miszling nagle cofnęła się o krok, a jej twarz wykrzywił gniew.

– Niemożliwe! Na pewno kłamiesz. Jesteś tylko nędzną zaprzysiężoną!

– Nie chcesz, nie wierz. Znajdziemy kogoś innego, kto zna drogę.

Surjit wahała się jeszcze, ale w końcu wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. Zaprowadzę was do grot. Otwórzcie portal do posagu Lilith. Wiecie, gdzie to jest? Stamtąd pójdziemy pieszo.

Posąg Lilith wykuto z czerwonego marmuru w stylu, który mógłby się kojarzyć z dłutem Fidiasza. Jednak pozory myliły; ta rzeźba była dużo starsza niż dzieła starożytnych greckich rzeźbiarzy. Mimo to nie nosiła żadnych znamion upływu czasu.

Kamienna królowa nierządnic, naga, o włosach aż do stóp, wyginała się w prowokującej pozie. W rękę trzymała kielich, a wokół jej ramion wiły się węże.

Posąg stał na szczycie wzgórza, pierwszego w łańcuchu wzniesień. Postument wyciosano wprost z macierzystej skały. U jego stóp znajdowała się galeryjka zakończona pionowym urwiskiem. Roztaczał się stąd widok na miasto – morze dachów osnute szarawym oparem, z którego wystawały iglice wież.

Zbliżał się już wieczór i niebo, choć bezchmurne, miało kolor brudnej stali. Nie migotała na nim ani jedna gwiazda. Wzgórza ciemniały w zapadającym zmierzchu, milczące i ponure.

Surjit poprowadziła ich kamienistą ścieżką. Dość długo szli trawersem w kierunku przeciwnym do miasta, a w końcu zagłębili się w mroczny parów. Wznoszące się niemal pionowo skalne ściany obudziły w umyśle Sangre mgliste wspomnienia z ziemskiego życia.

Wspięli się na rumowisko głazów i tuż przed nimi zamajaczył czarny wlot jaskini.

– Tam – oznajmiła lakonicznie kobieta miszling, zatrzymując się na progu. – Co z moją zapłatą, zaprzysiężona?

Wojowniczką odwzajemniła jej spojrzenie z kamienną miną.

– Wracaj do miasta, Feuersprache. Ja nie rzucam słów na wiatr. Za kilka dni dostaniesz wezwanie na audiencję.

Surjit przez chwilę wyglądała tak, jakby miała ochotę sprowadzić z nieba zapowiedziany przez Bernarditę Mendez deszcz ognia i siarki. Jednakże ograniczyła się do wysyczenia przez zęby:

– Jeśli mnie oszukałaś, zaprzysiężona... znajdę cię.

Zaczęła schodzić ścieżką ku wylotowi parowu. Szybko zniknęła im z oczu w gęstniejącej szarówce.

– Naprawdę możesz jej to załatwić? – spytał z niedowierzaniem Markoff. Sangre uśmiechnęła się.

– Załatwiałam nie takie rzeczy. Przydatne kontakty, Werner.

– I naprawdę mogą jej przyznać status demona czystej krwi?

– Jak im akurat będzie pasowało, czemu nie. Kto wie, może nawet Guldenhorn wzięłby ją do terminu.

Niemiec podejrzliwie wpatrywał się w wylot jaskini.

– Czego właściwie zamierzamy szukać w tej dziurze?

– Pomyśl. Zniknęło czterech więźniów, broń i ten zaczarowany kocioł alchemika, a twoja latynoska znajoma przepowiada ognistą zagładę miasta. Chciałabym wiedzieć tylko jedno: kto za tym stoi. Ale pewnie wkrótce się dowiemy.

Zaklął cicho, gdy w końcu zrozumiał.

– Jak nam się uda coś takiego udaremnić... Na Beliala! Nie zdziwiłbym się, gdyby ta sprawa doszła do uszu samego Władcy.

– Z tymi jaskiniami to bardzo daleki strzał. Dlatego zaraz się jeszcze upewnię, czy nie gonimy w piętę. – Sangre usiadła na kamieniu i wyjęła z sakiewki fiolkę czerwonego proszku oraz coś, co wyglądało jak trójkątny kawałek kości słoniowej oprawiony w złoto.

– Przyjaciel myśliwego? – Markoff bezbłędnie rozpoznał kosztowny talizman. – Prawdziwy ząb iblisa?

– Kupiony od Guldenhorna, więc nie dałabym sobie ręki uciąć, czy prawdziwy, ale działać działa. Czernieje, gdy w pobliżu jest ten, kogo tropisz, z tym że sprawdza się tylko wtedy, gdy w okolicy jest w miarę pusto. W mieście jest czarny przez cały czas, nawet bez aktywizacji.

Szepcząc formułę, posypała talizman proszkiem. Oboje drgnęli, gdy zmienił barwę.

Sangre zebrała magiczne akcesoria z powrotem do sakiewki, wstała i sprawdziła, czy oba pistolety są naładowane.

– Dobra, współniku, dość gadania. Jak u ciebie z widzeniem w ciemnościach?

– Nie narzekam. Wiesz, Sangre, żyję tu jakieś pół wieku dłużej niż ty.

Z bronią w pogotowiu zagłębili się w mrok. Korytarz był wąski i załatywało w nim stęchlizną. Nagle rozległ się rumor kamieni i z wnętrza poderwał się przygarbiony stwór. Dysząc, skulił się pod ścianą kawałek dalej – widocznie brakowało mu sił, żeby uciekać.

Człowiek. Nagi, brudny i tak wychudzony, że przez skórę dałoby się policzyć wszystkie kości. Syczał wrogo, gdy przechodzili.

– Dusza. – Markoff wzruszył ramionami. – Czasem udaje im się wymknąć ze słabiej strzeżonych ośrodków, gdy kara ma się ku końcowi.

– Nikt ich nie wyłapuje?

– Kiedyś organizowano obławy, ale teraz przestali się przejmować tałatajstwem, ośrodki i tak są przepełnione. Jak zwieje ktoś z wysokim wyrokiem, to oczywiście rozsyłają listy gończe. Bywało, że polowałem na takich, podobnie jak nasza rozmawiająca z ogniem znajoma.

Sangre uciszyła go ruchem ręki. Coś ją zaniepokoiło, bliżej nieokreślone przecucie. Obejrzała się. Potępieniec zniknął.

– Gdzie on polazł? – ożywił się Niemiec. – Czyżby ukryte przejście? Słyszałaś coś?

Zaprzeczyła z niemiłym uczuciem, że przegapia coś istotnego. Wyteżyła słuch. Było tak cicho... Zbyt cicho.

Nagle przymrużyła oczy. Czy było to złudzenie, czy też głazy i stalagmity zaczynały się leciutko rozmywać, jakby powietrze drgało od gorąca? I wtedy zdała sobie sprawę, co za zapach czuje od dłuższej chwili.

Ozon.

Markoff zaklął po niemiecku.

– Zaraz będziemy mieli towarzystwo. Kryj się!

Ciemność w załomach skał wydawała się ożywać i drgać. Potem przestrzeń rozdarła się jak zasłona i jaskinię rozjaśniła czerwona poświata.

Na tle łuny zamajaczył zarys potężnej postaci. Sangre, która skryła się za pierwszym z brzegu głazem, wystrzeliła dwukrotnie, prawie nie celując. Huk odbił się od ścian kaskadą ogłuszających ech. Zaczęła się podnosić, ale Markoff pchnął ją na spąg, a wykwitający w powietrzu jęzor płomienia minął ich oboje o włos. Poczula

zapach spalenizny. W następnej chwili skały znowu zatrzęsły się od huku, aż ze sklepienia posypały się drobne kamyczki – to strzelał Niemiec.

Przeciwnik szedł ku nim z uniesionym mieczem. Seria z karabinu nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

To był anioł. Najprawdziwszy anioł w srebrnej zbroi, o skrzydłach mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. Jego oczy, widoczne w otworach przyłbicy, jarzyły się bielą jak płonący magnez.

– Niechaj smok krwawi! – krzyknął wysokim, śpiewnym głosem. – *Adonai!*

Sangre zmeła w zębach przekleństwo i niewiele myśląc, sięgnęła po proszek do teleportacji.

– Złap mnie za rękę! Szybko! – zawołała, gdy rozległ się znajomy trzask i zapachniało siarką.

– O mały włos – stwierdził Markoff, oglądając nadpalony rękaw płaszcza. Zmaterializowali się gdzieś na popielistym pustkowiu; Sangre wykorzystała maksymalny zasięg czaru teleportacyjnego w nadziei, że utrudni w ten sposób wrogowi podążenie ich śladem. Wyglądało na to, że chwilowo są bezpieczni.

Niemiec wyglądał na wstrząśniętego.

– Widziałaś? Widziałaś, kto to był?

– Oczywiście.

– Pieprzony świetlisty! Co on tu robi?

– Nie wiem. Może to prowokacja. A może... Cholera wie.

– Co robimy?

– A co twoim zdaniem powinniśmy?

– Wrócić i zawiadomić namiestnika. To już nie sprawa dla nas.

– Więc tak właśnie zrób. Wróć i zamelduj, z czym mamy do czynienia. Niech namiestnik podejmie kroki wedle swojego uznania.

– A ty?

– Ja, Werner, nie zamierzam się wycofywać. – Sangre uśmiechnęła się kącikiem ust. – W każdym razie nie tak od razu. Podpisałam cyrograf, to do czegoś zobowiązuje. Poza tym pomyśl logicznie. Raz już umarliśmy, czego mamy się obawiać?

– No, jeśli popatrzeć na to od tej strony... – Markoff wyraźnie się wahał.

Kwestia śmierci w Szeolu miała cokolwiek mętny charakter. Nie można tu było umrzeć w ziemskim znaczeniu tego słowa, a co najwyżej zmienić formę czy miejsce swojej egzystencji. Warunki, na jakich mógł się zakończyć piekielny żywot potępionych, zależały każdorazowo od wymierzonej kary. Sytuacja zaprzysiężonych była inna – oni w pewnym sensie zyskiwali nieśmiertelność. Ciało, czy raczej to, co ciałem tu nazywano z braku lepszego określenia, wracało do życia i regenerowało obrażenia. Bez wspomagania w postaci zaklęć proces ten przebiegał długo, mozolnie i boleśnie, ale prędzej czy później wracało się do pełni sił. Nawet blizny znikwały, gdy upłynęło dostatecznie wiele wieków.

Z miszlingami było podobnie. Czystej krwi demony miały lepiej. Demon, który odniósł wystarczająco ciężkie obrażenia, na jakiś czas tracił materialne ciało, ale potem wracał do wyjściowej postaci.

Sangre jak dotąd dała się w Szeolu zabić raz. Na samym początku, gdy brakowało jej jeszcze doświadczenia. Pijany miszling pchnął ją nożem w karczemnej burdzie.

Markoff zmełł w zębach przekleństwo w swoim ojczystym języku.

– Jeśli ty się nie wycofujesz, Veland, to i ja nie. Więc dobrze. Co możemy zdziałać przeciwko świetlistemu? Nasze kule się go nie imają. Bernardita przewidywała to, cholera.

– Akurat temu można w pewnym stopniu zaradzić.

– Jak?

– Nie walczyłeś nigdy przeciwko niebianom? – Sangre nie mogła sobie darować pewnej wyższości w tonie. Markoff skrzywił się.

– Nie mów, że ty walczyłeś?

Mina zrzędała mu, gdy zobaczył jej uśmiezek.

– W oddziałach specjalnych wielkiego Dajjala. Krótco, ale zawsze. Wracając do meritum, Werner, możemy uprzykrzyć świetlistemu życie dość skutecznie i prosto.

– Jak?

– Pomyśl. Maść regeneracyjna, eliksir tamujący krew. To, co nam pomaga, jemu sprawi ból wprost proporcjonalny do zawartości naszej magii. Musimy zatruć amunicję. Oczywiście nie zabije go to, ale zdekongcentruje i osłabi.

– A niech mnie. – Markoff na moment oniemiał. – No tak, racja.

– Jedziemy dalej. Świetlisty, jak należy się spodziewać, gdzieś tam w jaskiniach trzyma kocioł, w którym zamierza wyhodować armię.

– Albo ktoś inny, jeśli to nie świetlisty stoi za tym wszystkim.

– A kto?

– Nie wiem. Ale czemu, na Beliala, anioł miałby...?

– Ja też tego nie rozumiem, Werner. Zostawmy na razie to pytanie. Mamy świetlistego, jaskinie i kocioł, z którego niedługo być może wylezie armia żołnierzy. Wprawdzie tylko potępionych, ale jednak.

– Czyli przede wszystkim należałoby spróbować zlikwidować kocioł.

– Na początek trzeba ten kocioł znaleźć. Tym razem w taki sposób, żeby świetlisty nie zorientował się od razu, że wężymy. Albo też... – Sangre zamyśliła się. Potem pstryknęła palcami. – Mam.

Taktyczny zamysł Sangre był ryzykowny w swej prostocie. Ona podjęła się odwrócić uwagę wroga – wciągnąć go w pościg przez portale, starając się zyskać jak najwięcej czasu – a Markoff miał spenetrować jaskinie.

Nie dane im było jednak zrealizować tego planu. Gdy tylko zmaterializowali się ponownie przy posągu Lilith, niżej w dolinie ujrzeli poruszające się sylwetki. Ścieżyną wśród skał mozolnie posuwały się cztery postacie. Dwie z nich dźwigały coś ciemnego.

– Co u... – Sangre zmrużyła oczy. – Werner! Widzisz to samo, co ja?

Tym razem Niemiec zareagował szybciej, i to w sposób, którego Sangre się nie spodziewała. Po prostu rozpostarł poły płaszcza i sfrunął w dół bezszelestnie jak wielki nietoperz. Jeszcze w powietrzu otworzył ogień z karabinu, ścinając zaskoczonych potępionych.

Gdy Sangre dotarła na miejsce, zeskakując po skałach, było już po wszystkim. Potępieni wili się, jęcząc. Markoff wycelował kolejną serię w kocioł, dziurawiąc go. Potem przyjrzał się potępionym i chwycił jednego z nich za gardło. Ten wydał nieartykułowany dźwięk, a głowa zwisała mu, więc Niemiec złapał następnego.

– Co się dzieje w grotach? Gadaj, ścierwo!

– O... o... – Z ust duszy pociekła czarna krew. – Ode... słał nas.

– Kto?!

– On. Świetli...sty.

– Czemu?

Ale potępiony oklapł mu w rękach jak mokra szmata.

– Za jakąś godzinę zaczną się regenerować, nie wcześniej – odezwała się Sangre. – Proponuję odstawić ich czym prędzej do Palazzo Dolore.

– A co ze świetlistym?

– Trzeba sprawdzić. Na mój nos wygląda to tak, jakby ktoś nas uprzedził.

– Myślisz, że świetlisty ma gości?

– Na to wygląda, skoro kazał swoim pionkom się ewakuować. Powiem więcej: coś mi mówi, że macza w tym palce Góra. Mogę pójść do grot i zbadać sytuację. – Widząc minę Niemca, uśmiechnęła się nieco złośliwie. – Albo ty tam idź, a ja się zajmę odtransportowaniem jeńców. Jak wolisz.

Markoff zmierzył ją kwaśnym spojrzeniem, ale nawet nie uznał za stosowne udawać, że się waha.

– W porządku. Odstawię tych artystów do Palazzo Dolore, a ty spróbuj się zorientować, co się dzieje w grotach.

Jaskinie trwały w martwym bezruchu.

Sangre cicho jak kot przemykała podziemnymi przejściami. Towarzyszyło jej niemiłe uczucie, od którego jeżyły się włoski na karku. Coś się szykowało.

Raptem dostrzegła w oddali błysk, smugę poświaty wydobywającą się z otworu w skalnej ścianie. Podkraśla się w tamtą stronę.

Kawerna była szeroka, pełna stalaktytów i stalagmitów. Jasność przesączająca się pomiędzy nimi rysowała wszędzie długie cienie. Na niewielkiej pustej przestrzeni pośrodku Sangre ujrzała dwie postacie.

Przyklękła za jednym ze stalagmitów, starając się oszacować sytuację. Na razie wiedziała jedno – nie należy się mieszać.

Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Anioł w zbroi, promieniejący światłem, i... ktoś.

W nieokreślonym wieku jak większość demonów, czarnowłosy i szczupły. Miał na sobie fioletowy, szamerowany srebrem mundur huzarski i czarną pelerynę ze szkarłatnym podbiciem, a w jego ręku lśniła szpada.

Sekundy mijały, napięcie gęstniało. Sangre wstrzymała oddech.

– *Adonai!* – zaśpiewał nagle anioł i zionął oślepiającą strugą ognia. Czarnowłosa zasłonił się peleryną, a płomienie zniknęły, jakby wessane przez nią.

– Musisz się bardziej postarać. – Uśmiechnął się drwiąco.

Świetlisty wydobyl miecz, którego ostrze rozjarzyło się czerwienią.

– Niech cię dosięgnie sprawiedliwość Pana – zasyczał głosem, w którym słycać było pustynny wiatr i szarańczę.

Czarnowłosa zaatakował pierwszy, szybko, by nie pozwolić masywniejszemu przeciwnikowi na zyskanie przewagi. Zasypał anioła gradem pchnięć, ale ten sparował wszystkie. Z kling przy każdym zetknięciu sypały się skry. Sangre patrzyła zafascynowana. Walka toczyła się w tak błyskawicznym tempie, że cięcia i zastawy umykały wzrokowi.

Odskoczyli od siebie i obserwowali się. Obaj oddychali szybciej. Naramiennik zbroi świetlistego zwisał na nadciętym rzemieniu, a rękaw fioletowego huzarskiego munduru pociemniał od krwi.

Tym razem anioł zaatakował pierwszy. Czarnowłosa wbrew prawom fizyki przyjął cios ciężkiego miecza na poprzeczną zastawę, a szpada wytrzymała to.

Anioł zmylił go fintą i ciał zdradziecko z dołu. Czarnowłosa zdołał zejść z linii ciosu, lecz potknął się o kamień. Stracił równowagę i poleciał niezgrabnie do tyłu, uderzając o ścianę. Zalała go struga płomieni, przed którą nie miał szans się uchylić, ale ogień spłynął po nim jak woda. Poderwał się i na nowo przyjął pozycję szermierczą. Jego twarz była maską determinacji, lecz Sangre widziała, że jest zmęczony. Jego ruchy stały się mniej zwinne, leciutko utykał.

Śmiejąc się triumfalnie, anioł wzbił się, by zaatakować z góry. I znalazł się dokładnie na linii strzału. Sangre tylko na to czekała.

Opróżniła magazynek, pakując w plecy świetlistego sześć kul posmarowanych piekielną maścią regeneracyjną, warzoną z siarki, szaleju i koźlej krwi.

Zachwiał się, na sekundę opuszczając miecz. Ta sekunda wystarczyła. Szpada przeciwnika przeszła jego pierś, przebijając zbroję jak papier.

Upadając, świetlisty wydał wrzask, od którego zadrżały skalne ściany. Gdy ucichły ostatnie echa, ciało anioła buchnęło niebieskawym, trzeszczącym ogniem.

Czarnowłosa wyminął płonące zwłoki. Zrównawszy się z Sangre, starannie wytarł szpadę i schował ją.

– Dziękuję w imieniu Góry – skłonił głowę. – Wyjdźmy może z tego dymu.

Korytarz istotnie zdążyły zasnuć opary, wydzielające ciężki zapach kadzidła.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie powietrze było czystsze, nieznajomy zatrzymał się i kawałkiem kredy nakreślił na spągu kilka znaków. Skały drgnęły i wśród ogłuszającego zgrzytu przesunęły się, zamykając przejście.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek tam łaził. Szczątki zasługują na tę odrobinę szacunku – wyjaśnił, marszcząc brwi.

– O co tu w ogóle chodzi? – nie wytrzymała Sangre. – Co za grę prowadzi z nami Góra?

Czarnowłosa popatrzył na nią chłodno, wyraźnie zastanawiając się, czy powinien udzielać odpowiedzi.

– Góra nie prowadzi żadnej gry – odparł w końcu. – Świetlisty, który narobił wam kłopotu, to nieszczęsny szaleniec. Z tego co mi wiadomo, chorował już od jakiegoś czasu. Cierpiał na obsesję na punkcie tego, że Szeol przestał spełniać swoją funkcję, że w praktyce kara rzadko ma dostateczny wymiar, a grzesznicy, którzy zaprzędali dusze piekłu, pozostają zupełnie bezkarni. Leczone go, ale zbiegł z niebiańskiego szpitala. Jakoś zdołał się przedostać do Szeolu, wiedziony chęcią zaprowadzenia u was odpowiednich porządków. – W jego głosie zabrzmiał cień ironii.

– Chory psychicznie anioł? – Sangre uniosła brew. – No cóż, skoro tak twierdzisz. Widywałam już dziwniejsze rzeczy, i na tamtym, i na tym świecie.

A ciebie świętoszki wysłały, żebyś rozwiązał ten jakże kompromitujący dla nich problem?

– Można tak to ująć.

Nadal zachodziła w głowę, kim on może być. Na zbawionego nie wyglądał, na świetlistego tym bardziej. Gdyby nie odporność na niebiański ogień, przysięgłaby, że ma do czynienia z Szeolita. Ale żaden Szeolita nie troszczyłby się o los szczątków pokonanego wroga.

Wysłannik Góry wyrysował tymczasem na skale krąg i wyjął z zanadru flaszeczkę z proszkiem do teleportacji.

– Muszę wracać do świata żywych – rzucił. – Obowiązki wzywają.

– Kim ty właściwie jesteś? – odważyła się w końcu zapytać. Czarnowłosa się uśmiechnął.

– W starożytnej Grecji nazywano mnie Tanatosem. Lubię to imię. Bywaj.

Sypnął proszkiem w krąg, który ożył sinym blaskiem. Skinął jej głową na pożegnanie, wstąpił w portal i zniknął.

Siedzieli w tawernie, pijąc różowe wino z asmodejskich winnic – Sangre, Markoff oraz Bernardita Mendez, która dała się zaprosić na jednego.

Na dziedzińcu trwało zamieszanie. Żołnierze w zbrojach i maskach usiłowali zaprowadzić porządek w tłumie obdartych dusz, pomagając sobie biczami, pałkami i płazami zakrzywionych mieczy. Ludzie, jakby nie zwracając uwagi na to, co ich czeka, albo kiwali się pijani, albo usiłowali tańczyć. Zawodzenie, krzyki i przekleństwa rozlegały się chyba we wszystkich językach świata.

– No, to sprawa rozwiązana, miasto uratowane – odezwała się wróżbitka, odstawiając puchar na stół. – Szkoda tylko, że nagroda wam przepadła.

– Nie, Lape Zodire jednak zapłacił. Po tysiąc koron na głowę. – Sangre uśmiechnęła się. – Zawsze coś.

– Ten cały Tanatos to uczciwy koleś – dodał Niemiec. – Bo to chyba on musiał opowiedzieć, jak było.

– Tysiąc, co? – Wróżbitka zacmokała. – To może byście tak postawili następną kolejkę?

– Ależ proszę bardzo. – Sangre przywołała służebną i wydała polecenie.

Pod ścianą tawerny zostało już tylko kilka dusz, reszta ustawiona w dwójki maszerowała w takt bębna ulicą wiodącą w stronę Palazzo Dolore.

Zasłona u wejścia uchyliła się i na salę wszedł, zamiatając szkarłatną peleryną, demon o włosach barwy lodu – ten sam, z którym Sangre wiązała przyjemne wspomnienia. Podeszedł do ich stolika i przysunął sobie krzesło.

Rozpoznała go w końcu. To był jeden z piekielnych arystokratów zasiadających w radzie miasta, bodaj z rodu Flaurosa.

– Rada miasta ma do was sprawę – oznajmił bez wstępu. – Poseł z Vril-ya spił się na uczcie i obraził kochankę namiestnika. Szukamy chętnych do dania mu nauczki. Ale trzeba zadziałać z wyczuciem, tak żeby nie wywołać skandalu. Bądź co bądź, chodzi o dyplomację.

– Podaj cenę. – Markoff uśmiechnął się. – Zastanowimy się.

Służebna wróciła z tacą. Sangre wręczyła kielich białowłosemu arystokracie. Przyjął z uśmiechem i lekkim ukłonem, widocznie też ją zapamiętał.

– Wypijmy za Ciemność! – zawołała cokolwiek już wstawiona Bernardita Mendez.

– Za Ciemność!

Wszyscy czworo stuknęli się pucharami.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Agnieszka Hałas: Dwie karty, I tom cyklu Teatr węży

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli.

Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cienie* oraz *W mocy wихru*.

Szablą i wąsem. Antologia opowiadań sarmackich

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy

Zbiór opowiadań fantastycznych. Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno. Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatach

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”, w której grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach obleżonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmiejcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Dariusz Kankowski: Re-Horachte. Pierwsze spotkanie

Podróż, przygoda, przyjaźń, poświęcenie

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Kontynuacja cyklu w powieści *Re-Horachte. Martwy chłopiec*.

Romuald Pawlak: Rycerz bezkonny

Zaczynał od pasowania zwłok...

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii.

A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy.

Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.

Katarzyna Uznańska: Ziemią wypełnisz jej usta

Kiedy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Stare legendy czasem ożywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią. Na żydowskim Kazimierzu czają się one tuż pod powierzchnią życia, wystarczy tylko zeskrobać nieco tynku z zaniedbanych ścian, poruszyć luźną cegłę, wejść do małego antykwariatu pełnego rupieci, by znaleźć się w innej epoce i czasie minionym. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Dawid Juraszek: Jedwab i porcelana, tomy I, II, III i IV

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał.

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmaga się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys i Niebieski smok* (nowe wersje oraz *Czerwony ptak i Czarny żółw* (prapremiery).